centrum Dakaru. Senegalska stolica bardzo przypomina duże europejskie metropolie. Właściwie jest to swoistego rodzaju mieszanka, która jest kompilacją europejskiej architektury i pędu życia z typową afrykańską mentalnością i bałaganem. Dziwne miasto. Pierwsze wrażenie jest raczej odpychające. Wielka, zakurzona i zaśmiecona budowa.

Dakar nie ma rozwiniętej komunikacji miejskiej i cały transport opiera się na zdezelowanych taksówkach lub jeszcze gorzej wyglądających i przepełnionych busach. Stąd decyzja wjazdu naszym samochodem. Dojazd do centrum, oddalonego od naszego hotelu raptem o 10 km, zajmuje nam ponad 2 godziny. To co dzieje się na drogach przypomina nieco to, co widziałem wcześniej w Damaszku i Ammanie.

Pierwsza nasza przygoda to zakup lokalnej samochodowej tablicy rejestracyjnej od przydrożnego handlarza, co wzbudziło takie oburzenie u policjanta, że po kontroli dokumentów postanowił zatrzymać mi prawo jazdy i ukarać mandatem. Właściwie nie do końca wiem o co mu chodziło, ale musiał dostrzec panikę w moich oczach, bo po kilkunastu minutach przekomarzania oddał mi dokumenty i kazał jechać dalej – to było bardzo nerwowe przeżycie zakończone postanowieniem nie realizowania więcej zakupów w tej formie.

Docieramy do centrum. Pierwszy charakterystyczny obiekt, widoczny z dużej odległości, to minaret wielkiego meczetu. Poza wielkością nie przyciąga niczym więcej uwagi więc udajemy się do portu w poszukiwaniu terminalu promów odpływających na wyspę Goree. Znajdujemy takowy. Otrzymujemy jednak informację, że mamy jeszcze sporo czasu do najbliższego promu, więc decydujemy się na spacer po centrum Dakaru. Pierwszym odwiedzonym miejscem jest skwer na Place de L'Independance. Trochę zieleni wśród brzydkich zabudowań. Spacerujemy dalej i docieramy do Pałacu Prezydenckiego. Nie wiemy, czy taki budynek można fotografować, więc pytamy się o to pierwszego napotkanego policjanta. Gdy otrzymujemy zgodę, wykonujemy kilka zdjęć z dużej odległości, co nie umyka uwadze wartownika przed pałacem, który gestem każe podejść do siebie. Nieco wystraszeni podchodzimy do uzbrojonego wartownika w czerwonym, reprezentacyjnym mundurze, a ten z uśmiechem zaczyna pozować do zdjęć. Znowu uczucie ulgi. Docieramy do katedry. Architektonicznie przypomina bardziej meczet niż znane nam kościoły katolickie. Niemniej jest to katedra. Wracając do portu przechodzimy przez jeden z dakarskich bazarów, mijając dziesiątki kolorowych straganów i kupców zachwalających swój towar. Targowisko przypomina nam czasy, kiedy w Chorzowie pracowaliśmy na podobnych. Dawne dzieje.
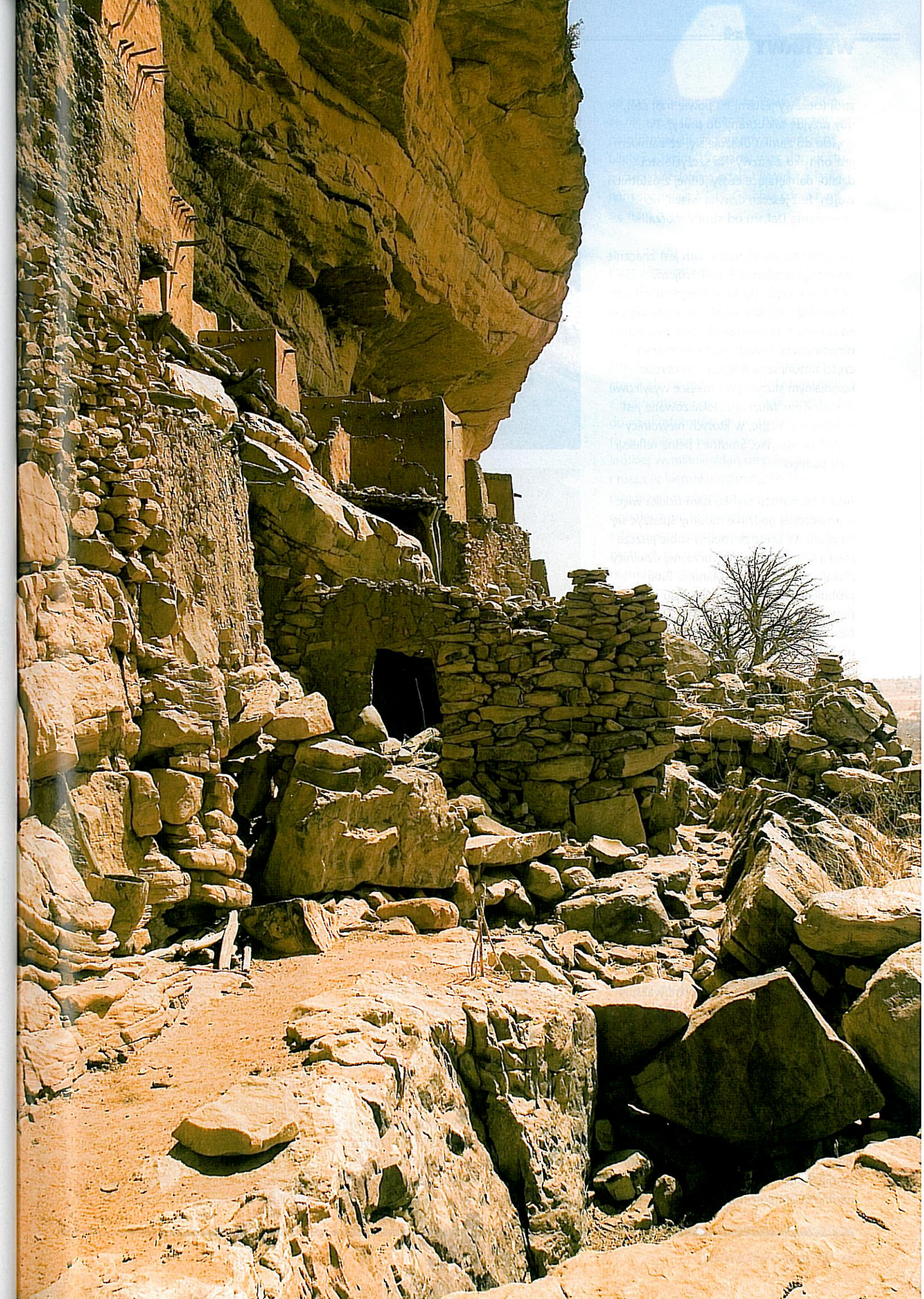
Wracamy do portu, gdzie prom już czeka. Kupujemy bilety i ruszamy na morską wycieczkę. Po 20 min docieramy do wyspy Goree (wpisanej na listę zabytków UNESCO). Na wyspie odnajdujemy zupełnie inną Afrykę. Mimo, że dookoła mnóstwo straganów i handlarzy zachwalających towary. To miejsce raczej przypomina starówki chorwackich miasteczek niż to, do czego przyzwyczaiła już nas Afryka. Spacerujemy wśród wąskich alejek, porośniętych bujnie roślinnością. Podziwiamy kolorowe zabudowania, brukowane uliczki. Delektujemy się przyjemnym, chłodnym morskim wiaterkiem. Odmienna Afryka. Zupełnie nam nieznana. Udajemy się na zamek. Po drodze zatrzymuję się przy jednym z ulicznych straganów – widzę śliczną małą gitarkę, którą po krótkich negocjacjach kupuję. Uprzejma Rosalia (bo tak miała na imię sprzedawczyni) prezentuje jeszcze pozostałe swoje specjały, wśród których wybieram sobie typowy, kolorowy męski